

P
A
N

12135

Prof. Dr. K. Twardowski

KRYTYCZNA ODPOWIEDŹ

NA

12135

DRA RACIBORSKIEGO ROZBIÓR I OCENĘ

ROZPRAWY:

FILOZOFIA JAKO NAUKA AKADEMICKA

PRZEZ

DRA ALEXANDRA SKÓRSKIEGO.

PAN 12135



L W Ó W.

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

Z drukarni Władysława Łozińskiego. Zarządca W. J. Weber.

1894.

H-118714

<http://rcin.org.pl>

Prof. Dr. K. Twardowski

KRYTYCZNA ODPOWIEDŹ

NA

DRA RACIBORSKIEGO ROZBIÓR I OCENĘ

ROZPRAWY:

12135

FILOZOFIA JAKO NAUKA AKADEMICKA

PRZEZ

DRA ALEXANDRA SKÓRSKIEGO.

Wacł. Dr. Kazimierz Twardowski
z dorobku nauki i mędrzości
razem pomyślane
sk
Autore

L. W Ó W.

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

Z drukarni Władysława Łozińskiego. Zarządca W. J. Weber.

1894.

12135



K
19.12.59
A. 869

Uzupełniona odbitka z »Przewodnika Naukowego i Literackiego«.

W wydanem świeżo piśmie p. n. *Filozofia jako nauka akademicka* napisał dr. Alexander Skórski rozebrał i ocenił dr. Alexander Raciborski (Lwów 1894 stronie 30), zdaje dr. Raciborski szczegółowo sprawę z mojej rozprawy, wydanej przed rokiem. Daleki wprawdzie jestem od mniemania, jakoby moja praca była bez błędów; wiem również bardzo dobrze, że w filozofii można być uczniem przez całe nawet życie. Jednakowoż „krytyczne uwagi“ dra R. dołączone do dosłownych wyciągów z mojej rozprawy, przyznają mi tylko gołosłownie pewne formalne zalety pisarskie, a usiłują zresztą wywrócić jeden mój pogląd po drugim. Taka analiza zniewala mnie do następującej, czysto przedmiotowej odpowiedzi na ważniejsze zarzuty:

Przedewszystkiem niepodobna przyznać naukowej cechy samemu zapewnieniu dra R., że nawet „przy najlepszych chęciach i przy całym wyteżaniu umysłu nie zdołał wyrozumieć, na czym ma polegać różnica pomiędzy znaczeniem przedmiotowym i podmiotowym umiejętnego poznania w ogóle!“ (*Rozbiór i ocena* str. 2). Pisząc w inkryminowanym miejscu: „wiadomo także“, że umiejętnie poznanie może mieć znaczenie przedmiotowe lub podmiotowe itd. (zob. *Filozofia* str. 3), nawiązałem rzecz po prostu do tego, czegośmy się nauczyli jeszcze ze szkolnych logik — i rozumiałem przez pierwsze: *scire est rerum cognoscere causas*, a przez drugie: *cognitio per demonstrationem acquisita* (por. *Fil.* str. 4). Być może, iż wyłożyłem tę różnicę w sposób za mało jasny lub nieprzystępny dla ogółu wykształconych. Kto wszakże dochodzi myśli jednego zdania także i z tych logicznych ogniów, które je łączą z poprzednimi i następnymi zdaniami, ten może tylko na podstawie takiego związku wyrokować ostatecznie o sensie lub nonsensie badanego sądu. Tego naukowego warunku nie dopełnia dr. R., bo nie dochodząc toku myśli dalszych, powołuje się tylko na indywidualne swoje motywa co do sądu, uważanego — luźnie. W obec takiej reguły krytycznej poszłyby na stos całe dzisiejsze biblioteki n. p. o Kancie!

Drugą swoją „uwagą“ zamierza dr. R. osłabić moje ogólne określenie filozofii, chociaż nie kwestyonuje wcale tych premis, na podstawie których określiłem filozofię jako „naukę umiejętności“. Co się zaś tyczy samego twierdzenia, że takie określenie filozofii „powinnoby ją zamknąć w obrębie metodologii“ (*Rozbiór* str. 3), to niesłuszności tego dowiodłem już w dziele: *Jan Śniadecki wobec współczesnej metafizyki niemieckiej* (Lwów 1890, str. 300—301), na co się powołałem przy końcu pierwszego rozdziału *Filozofii* (str. 11). Jeżeli nadto dr. R. uważał ten rozdział „za podstawę reszty książki“ i dlatego miał go „obszerniej omawiać“, to interes nauki wymagał także sprawdzenia dawniejszych moich założeń.

Trzeci zarzut przeciwko mojej pracy wypływa z widocznego mniemania dra R., jakoby mnie chodziło o najściślejszą filozofii definicyę w formalno-logicznem znaczeniu (zob. *Rozbiór* szczególnie str. 6, gdzie znów odnośnie do metafizyki wspomina o „treści poddziału, wychylającej się po za obręb początkowo przedmiotowi naznaczony“). Jakkolwiek jednak uściłowałem rozwiniąć pojęcie filozofii — trafnie, czy błędnie: to rzecz inna — nie okazałem przecież nigdzie zamiaru kuszenia się o taką definicyę, któraby służyć miała za szkatułkę do wkładania w nią lub wyjmowania z niej wszystkich gałęzi filozofii. Co najwięcej mogłem mieć na oku definicyę t. zw. genetyczną: bez względu na ten zewnętrzny moment, czy treść mojej „książki, odpowiadająca podziałowi na logikę, metafizykę i etykę, zmieści się w niej wygodnie“, czy też „może trochę za wygodnie“ (*Rozbiór* str. 4). Ale i bez takiego zastrzeżenia nie może się utrzymać zarzut, jakoby ten podział filozofii „wykraczał już po za obręb oznaczony mojem określeniem“ (*Rozbiór* str. 3). Brak nam i tutaj dowodu przedmiotowego. Z jednej bowiem strony słyszymy znowu tylko indywidualną opinię: „rozumiem, że można n. p. do etyki naukę umiejętności stosować“; z drugiej zaś retoryczne tylko pytanie: „ale w jaki sposób może być etyka częścią nauki umiejętności?!“ (tamże). Wszelka jednak w tej mierze niknie trudność, jeżeli odróżnimy etykę teoretyczną od praktycznej. Pierwsza ma zbadać właśnie naukowe uprawnienie wszystkich pojęć i norm moralnych, jest przeto niezaprzeczoną odłamem ogólnej teoryi umiejętności: druga wykracza istotnie po za zakres mego określenia, ale tylko dlatego, że filozofia rzekła

się dzisiaj w ogóle tej praktycznej dążności, którą miała za czasów greckich i rzymskich, kiedy jako „sztuka życia“ wchodziła często w drogę wierzeń religijnych.

Niesłusznie również „zdaje się“ drowi R., jakoby „sam uznawał niedostateczność takiego określenia filozofii.“ Cz warty bowiem zarzut, że to określenie „rozszerzam i zmieniam cokolwiek w dalszych rozdziałach“, ma wprawdzie pod względem formalnym więcej wartości, gdyż zdań moich nie traktuje już całkiem luźnie; jednakowoż przytoczone na rzeczowe jego poparcie inne słowa moje ze strony 113 i 124 (zob. *Rozbiór* str. 3) nie są najmniejszym sprzeniewierzeniem się „początkowemu określeniu“, lecz w istocie rzeczy tylko taką specyfikacją tego określenia, jakiej wymaga w ogóle każdy systematyczny traktat o jakiejś kwestyi.

Piąty zarzut odnosi się do mego określenia logiki „jako nauki, której głównem zadaniem jest naukowy rozbiór i uzasadnienie ogólnego pojęcia umiejętności“. Dr. R. proponuje „zestawić“ z tem określeniem logiki poprzednie moje określenie filozofii; ale, nie dokonawszy w oczach czytelnika takiego zestawienia nawet w sposób porównawczo-filologiczny, nasamprzód „wątpi, czy wystąpi nam jasno z obu tych określeń stosunek logiki do filozofii jako części do całości“, a powtóre „sądzi, że nawet różnica obu tych pojęć zaciera się bardzo w tych określeniach“ (*Rozbiór* 4). Jestto jednak znów czysto podmiotowa argumentacja. Samo bowiem wątpienie jest tylko indywidualnym stanem niepewności; sam zaś akt sądzienia czyjegós może obowiązywać drugich także tylko wtedy, kiedy ze swej treści uwydatnia owe „causa s“, w których — jak widzieliśmy przy pierwszym zarzucie — nie dostrzegł dr. R. warunku „przedmiotowego poznania“. Kto jednak przyzna, że można zajmować się samem ogólnem pojęciem n. p. historyi, a nie dotykać równocześnie wszystkich dat historycznych i tych w ogóle momentów, które się składają na całą historję — ten nie może mieć powodu zaprzeczać specyficznej różnicy pomiędzy pracą logiki, dochodzącej prawdziwych znamion umiejętności — a czynnością filozofii, wykładającą pod godłem takiej uzasadnionej już umiejętności wszystkie w ogóle teorematy, dotyczące świata i życia ludzkiego.

*

Szósty zarzut przedstawia się jako „parę uwag krytycznych o ustępie poświęconym metafizyce“. Dr. R. stwierdza wprawdzie, że „przedstawił, o ile możności mojemu słowami, tok myśli i rozkład treści“ tego rozdziału. W istocie rzeczy jednak było to nawet fizyczną niemożliwością, wśród samych dosłownych wyimków z 12 stronie mojej książki, zebranych prawie na jedną w swoim rozbiórze (zob. str. 8 i 5 wierszy ze str. 6), nie pominąć tu i owdzie wzajemnego związku poszczególnych poglądów moich. Nie dziw tedy, że zastosowane do niesystematycznego streszczenia uwagi krytyczne podehwytnają mnie za same słowa lub zwroty czysto językowe i podsuwają mi takie myśli, jakich strzegłem się tem bardziej, że metafizyka ma dzisiaj w ogóle więcej przeciwników niż zwolenników. Chcąc wszystkie „wątpliwości“ usunąć, musiałbym rzeczony rozdział dosłownie przepisać — a przecież o wiele łatwiej go odczytać! Ograniczę się więc tylko do tej „wątpliwości“, do której sam dr. R. największą przywiązał wagę, czyniąc mi z jej powodu najcięższy ze wszystkich zarzut: „jednostronności — wiele niefilozoficznej!“ (*Rozbiór* str. 7).

Skreśliwszy mianowicie zadanie i zakres metafizyki tak, jakbym ją pragnął pojmywać, napisałem potem: Jeżeli w tym planie bronionej przez nas metafizyki, nie dotknęliśmy wszystkich zagadnień z obrębu filozofii natury — „nie mówiliśmy bowiem ani o dynamizmie, ani zachowaniu siły albo energii, ani o innych z tej dziedziny wiedzy teoryach dzisiejszych — to pamiętać należy zawsze, że żaden inny obszar nauk specjalnych nie nastrocza już sam filozofii tyle pomocy i faktycznych prób do rozwiązywania głębszych problematów, ile właśnie nauki przyrodnicze w racjonalniejszych swych gałęziach. Prawa panujące w przyrodzie zniewalają bardzo często genialniejszych badaczy natury, przekraczać ścisłe obserwacji granice i wyjść ze sfery bezpośrednio dostrzegalnych przejawów, ażeby przyjąć nasamprzód hipotetycznie pewne ich związki, które... sięgają już w zakres filozofii“ (*Filozofia* str. 29). Ktokolwiek ten ustęp powtórnie racy odczytać, przekona się dowodnie, że wymienionych tu zagadnień nie wyłączałem bynajmniej z zakresu metafizyki, lecz uważałem je nawet za tak ważne, że już uczeni przyrodnicy muszą się nimi zajmować, przez co właśnie wchodzą w styczność z samą filozofią. Dr. R. nie przyjął i tego ustępu w poczet swoich wyimków, lecz przepisawszy

ze str. 26 moje twierdzenie, że „głównie teoria atomistyczna pod najściślejszą rozważę wzięta być musi“ (*Rozbiór* str. 5, por. 6), przeobraża z powyższego ustępu nawet moje słowa: „nie mówiliśmy itd.“ na „wolno jej (metafizyce) nie mówić“ i dopisuje do tego dalsze moje już słowa „ani o dynamizmie ani o zachowaniu siły albo energii, ani o innych teoriach... dzisiejszych“ (*Rozbiór* str. 6). Wszystko to dzieje się w tym celu, aby z powodu zaleconej przeczemnie „główniej rozważki“ atomistyki, zrobić ze mnie już zdeklarowanego stronnika tej teorii „jednostronnej“ (*Rozbiór* 7), i zarazem mnie ponężyć, że „właśnie ze stanowiska metafizyki należy najściślej łączyć badanie siły, ruchu i praw mechaniki z teorią zachowania energii, która należąc do t. zw. spekulatywnej fizyki stoi już na pograniczu jej z filozofią“ (*Rozbiór* 6). Proszę raz jeszcze przeczytać przytoczony powyżej ustęp z mojej książki — a jest tam mowa i o tem „pograniczu“, tylko nie odważyłem się i odważyłbym się dzisiaj przypominać „spekulatywnej fizyki“ Schellinga! Przypomniałbym natomiast co do samego zarzutu „niefilozoficzności“, że, gdybym nawet był istotnie położył „nacisk główny wyłącznie tylko na atomistykę“ (*Rozbiór* 7), to nie mogłoby być i w tem nie „niefilozoficznego“ — nawet w najgorszym znaczeniu tego frazesu — bo jest przecież „geometryczna“ i „dynamiczna“ atomistyka, a Hartmann przyznaje się wprost do dynamizmu — atomistycznego! Któż kombinacja jest tu iście — filozoficzną?

Siódmy zarzut odnosi się do bronionych przeczemnie apriorycznych podstaw moralności. Wszystkie jednak wygłoszone tu przeciwko mnie twierdzenia są tak chwiejne i niejasne, że musiałbym chyba rozwijać całą teorię „aprioryczności“, aby się i co do początku „poczucia obowiązku“ porozumieć z drem R. Byłoby to jednak rzeczą tem trudniejszą, im śmielej dr. R. orzeka, że „aprioryczny znaczy po polsku uprzedzający wszelkie doświadczenie“ lub nawet „wrodzony“, i że „jeszcze Locke pisał nie źle o poczuciu obowiązku“ (*Rozbiór* str. 9). Dr. R. przeczoza zupełnie podniesioną przeczemnie formalną stronę tego poczucia, a pod tym właśnie względem przyznał mi dr. Kazimierz Twardowski, „że zasady moralne niemniej posiadają walor absolutny jak zasady logiczne“ (zob. *Przegląd Prawa i Administracji*, Lwów, Maj 1894, str. 394—395). Nie Locke, lecz Kant należy do tych nielicznych zresztą myślicieli, *die man in der Philosophie nicht ungestraft vernachlässigen darf!*

Ósmy zarzut, że zasady estetyki traktuję „bardzo luźnie i dorywczo“ (*Rozbiór* str. 10), jest wprawdzie słuszny, ale przewidziany już przezemnie, bom wyraźnie przyrzekł przedmiotowi temu osobne poświęcić pismo (zob. *Filozofia* str. 51).

Dziewiąty zarzut dotyczy stosunku religii do filozofii a mianowicie wewnętrznego ich pogodzenia, którego nie dokonałem w zasadzie (*Rozbiór i ocena* str. 12). Kto jednak, nie polegając na wyciągach dra R. (tamże str. 11—12), przeczyta w oryginale choćby tylko te moje zdania: „że inne są fundamenta religijnego a inne filozoficznego dążenia“ (*Fil.* str. 56) lub że „dzisiaj wracamy do stanowiska Bakona, domagającego się zupełnego rozbratu pomiędzy religią a niezależną filozofią“ (*Fil.* str. 57) — ten dostrzeże natychmiast, że nie mogło mi chodzić o „logiczne pogodzenie treści (religijnej z filozoficzną) a w następstwie o powstanie odpowiednich przekonań w umysłach poszczególnych ludzi“ (*Rozbiór* str. 12). Uznając natomiast „praktyczne znaczenie religii dla moralności i dobra ludzkiego“ (*Filozofia* str. 57), przyjmuję chętnie zarzut „zewnątrznego pogodzenia filozofii z religią“ (*Rozbiór* str. 12); czy jednak „w taki kompromis wejdą: tylko letnia i pobłażliwa religijność, tylko ostrożne i giętkie filozofowanie?“ (*Rozb.* tamże) — o tem możnaby było decydować tylko w takim razie, gdyby dr. R. i całej tej tak ważnej kwestyi nie zbywał tak lekko. A przecież bliższe przynajmniej określenie tak wygodnych przymiotników, jak: „letni, pobłażliwy, ostrożny, giętki“, nie byłoby przyemiło „jasności“ krytyki, która przeszło ośm stronie z rzędu poświęca „niedokładnościom językowym“. Wprawdzie dzieje się to niby w formie „odrębnego zupełnie dodatku do tej recenzji“ (*Rozbiór* 20), ale sam dr. R. przyznaje, że *litera docet, litera nocet!*

Dziesiąty zarzut, tycejący się mego zapatrywania na krytycyzm filozoficzny, nie ma już najmniejszej podstawy. Do przyznanych mi przedtem takich czysto formalnych zalet, jak „znajomość literatury“ (*Rozbiór* 13) lub „gruntowne obznajomienie się z przedmiotem“ (str. 15), przybywa teraz nie mniej formalna „staranność, cechująca całość mojej pracy“ (str. 16), ale przybywa tylko w tym celu, aby jej przeciwstawić pod względem rzeczowym „powierzchowność, z jaką polecam krytycyzm jako ogólne, jedyne, prawdziwe *panaceum* (może *panacea?*) na wszystkie przewlekłe niemoce staruszki filozofii“

(tamże). Motywując to zdanie, rozstrzygające o rzeczowej wartości całej pracy mojej, sądzi dr. R., „że w niemałym byłbym kłopotcie, gdyby ktoś spytał, który to krytycyzm jest ową jedyną, prawdziwą filozofią?“ Tak sądzi dr. R. dlatego, że po dłuższym nawet tą razą przeciwko mnie rozumowaniu objawia zasadnicze zdanie, że „krytyka krytyce nie równa, że jest prawie tyle krytyk, ilu krytyków, że krytykować można z najrozmaitszych stanowisk.“ Na takich założeniach wsparty dochodzi dr. R. do stanowczej konkluzji, że „nie tylko wyraził się nieściśle i nieumiejętnie, ale też zgrzeszył niefilozoficzną, naiwną wiarą itd. itd. (tamże). Tymczasem cała ta argumentacja wypływa z tego kardynalnego w filozofii błędu, że bierze „krytycyzm“ nie tylko w rzeczowym, ale i w pospolitem znaczeniu zwykłej „krytyki“ lub „krytykowania“, choćby i systemów filozoficznych! Do tak fatalnego *qui pro quo* nie dałem najmniejszego powodu. Nasamprzód bowiem sam dr. R. (str. 16) przedstawia rzecz tak, że w tem miejscu mojej książki chodzi o samą metodę krytyczną wobec metody dogmatycznej i skeptycznej; sam dr. R. przytacza następnie to moje zdanie, że „krytycyzm pojęty jako formalny system itd.“, a zatem nie co do rzeczy lub treści, jest ową prawdziwą filozofią; sam dr. R. opuścił nakoniec w swoich wyciągach dosłownych to właśnie moje zdanie, które jest poprzednikiem przytoczonego teraz zwrotu o „formalnym systemie“. W tym poprzedniku zaś napisałem wyraźnie: „Kwestyonując tak twierdzenie dogmatyzmu, jak i założenie skeptycyzmu, czyni krytycyzm swoim fundamentalnem zagadnieniem samą kwestyę możliwości wiedzy“ (*Filozofia* str. 128). I z tem zdaniem spotkałby się w mojej rozprawie nawet często taki czytelnik, który zechce zdać sobie sprawę z zasadniczych kwestyi filozoficznych. Że do tego potrzeba gruntownego studyum, to uważałem jako rzecz, która rozumie się sama przez się, i w tym celu dla rozjaśnienia tych lub owych szczegółów podałem „literackie wskazówki do dalszych badań“ (zob. Przedmowę).

Tym sposobem — pomijając inne, mniej lub więcej stanowcze zarzuty drobniejsze — zgodzić się nie mogę i na generalny zarzut: „braku jasności!“ Nie pisałem wcale „wstępu do filozofii“ w guście niemieckich *Einleitungen in die Philosophie*, gdzie chodzi także o bliższe rozjaśnienie używanych w filozofii terminów lub pojęć. W przedmowie naznaczyłem wyraźnie, że książka moja ma być informacyj-

nym przewodnikiem po rozległym obszarze filozofii. Dr. R. przytoczył to zdanie we wstępie, przeoczył jednak, że rozprawa, licząca stron nie zaledwie 153, nadaje mi również prawo żądania od fachowego recenzenta i względu na właściwy jej zamiar. Zarzut „braku jasności“ — choć to pojęcie tak względne — przyjmę zresztą chętnie, ale tylko od tego, kto trwać będzie przy nim i po przeczytaniu wszystkich dzieł, poleconych w mojej „informacyjnej“ rozprawie. W takim też tylko razie zgodziłbym się na najcięższy zarzut „dodatkowy“, jakim fałszywie pojmował różnicę pomiędzy „wyobrażeniem“ a „pojęciem“.

Inne przeszliśmy szkoły filozoficzne: stąd pono cała kontrowersja między mną a tak sumiennym, lubo za mało syntetycznym krytykiem, jak dr. Raciborski. Jak dalece zgubić się można w samych szczegółach i subtelnościach, a na całość rzetelnego nie rzucić światła — dowiódł tego dr. R. prawie klasycznie w powołanej i teraz (str. 26) swojej dwutomowej pracy: *Podstawy teorii poznania w systemie logiki Milla* (Lwów 1886). Polecony dzisiaj „ciekawym czytelnikom“ rozdział drugi tomu pierwszego ma „wyjaśniać zasadniczo i dokładnie stosunek wyobrażenia do pojęcia“ (*Rozbiór* str. 26), ma dowodzić naukowo, że najbłędniej wyrażamy się, n. p. „ten człowiek nie ma wyobrażenia o prawie rzymskim, albo o logice, albo o astronomii“ (tamże), ma wykazać ostatecznie, że wszędzie należałoby mówić tylko o pojęciu, albowiem „prawo rzymskie, logika i astronomia nie są przedmiotami, którymby odpowiadały odtworzone wyobrażenia, jak gdyby obrazy w umyśle naszym“ (tamże). Jednym słowem — w pracy swojej o Millu miał dr. R. jeszcze przed ośmiu laty całkiem „jasno“ dowieść, że pomiędzy „wyobrażeniem“ a „pojęciem“ nie zachodzi różnica tylko co do stopnia — jak pospolicie przyjmujemy — lecz przeciwnie nawet co do rodzaju. Ja zaś mam „widocznie nie uwzględniać znanego faktu psychologicznego, że wyobrażamy t. j. odtwarzamy w umyśle wyłącznie tylko już raz doznane wrażenia“; z tego powodu mam popełniać gruby błąd, mówiąc o „wyobrażeniach przestrzeni, czasu i liczby“, wszak „przestrzeń jest już wytworem odrywania, jest pojęciem, któremu jako takiemu żadne odtworzenie wrażenia odpowiadać nie może, a to samo dotyczy się czasu i liczby“ (*Rozbiór* str. 25). Wykładając w bieżącym właśnie kursie „metodologię nauk matematycznych i przyrodniczych“, dowodzę swoim słuchaczom całkiem przeciwnie, że prze-

strzeń, czas i liczba są nie tylko wyobrażeniami, ale i z samego odrywania nigdy powstać nie mogą. Warto więc zaiste przypatrzeć się bliżej owym dowodom dra R. zwłaszcza, że i na innym miejscu, powołując się także na swoją rzecz o Millu, zdaje się sądzić, iż co do „różnicy pojęcia od wyobrażenia“ zgadza się „z poglądami obecnie ustalonymi“ (Zob. *O logice* W. Kozłowskiego, Lwów 1892 str. 14).

Przedewszystkiem stwierdzić już z góry wypada, że w krytycznych wywodach dra R. przeciwko Millowi nadzwyczaj trudno zorientować się temu, kto pragnie wysledzić zasadnicze myśli krytyka, któreby były stałą osią wszystkich jego uwag. Znaną także jest rzeczą, że nie ma nie łatwiejszego, jak rozdrobić jakiś system na kawałki i tak wykazywać w nim tylko strony ujemne. Przeciwnie — jedynie właściwa krytyka filozoficzna polega na tem, aby przenieść się przedmiotowo na stanowisko autora systemu badanego, stwierdzić historyczne podstawy głównych jego założeń i wykazać niedwuznacznie jakąś dodatnią zasadę, która twórcą systemu musiała powodować koniecznie. Potem dopiero można taką zasadę dalej rozwijać i rozstrzygać, aby, wprowadziwszy ją w styczność ze znanymi skądinąd pewnymi poglądami, wykazywać jej niedostateczność lub jednostronność. Wbrew takim słusznym wymaganiom nie wznosi się krytyka dra R. nigdy na stanowisko historyczno-genetyczne, a w szczególności nie uwzględnia wybitnej roli Milla w całym kierunku psychologii t. zw. *assocyacyjnej* w Anglii, z którym szli w parze Herbart i Beneke w Niemczech, by dopiero w ostatnich latach utknąć na fizyologicznej psychologii Wundta (por. moją recenzję J. Wł. Dawida, *Nauki o Rzeczach w Ateneum*, Warszawa 1893, październik). Nie wyjaśniwszy tedy zasadniczych kwestyi spornych na gruncie historycznym, gdzie naturalny przetak czasu najlepszym jest sortownikiem, wprowadza nas dr. R. w wir mniemań współczesnych o szczegółowych już zagadnieniach. Bez żadnego ugrupowania występują przed nami stronnie najsprzeczniejszych nawet kierunków, bo Autorowi chodzi tylko o poszczególne ich zdania, z którymi się zgadza lub nie zgadza. Polemizując tak na wszystkie strony, nie chybia wprawdzie dr. R. nigdy właściwego celu swoich pocisków, t. j. „empiryka“ Milla, ale wyrządza wielką krzywdę czytelnikowi, choćby i najbardziej rutynowanemu. Umysł czytelnika zalany powodzią zbyt obszernych cytatów dosłownych tak z Milla, jak z innych autorów, nie doznaje wyrazistego widoku na całość zaga-

dnienia, nie nabywa jasnego wyobrażenia o własnym stanowisku Autora, a natomiast pragnie dotrzeć co rychlej do końca rozdziału. Dodatniem wszakże wrażeniem, jakie z tak uciążliwej wędrówki odnieść musi każdy nieuprzedzony czytelnik — choć w swoim czasie stronnicza krytyka i tego nie uznawała — jest rzadka sumiennosc pracy, rozległa znajomość bieżącej literatury i szczerą dążność do prawdy. Najwymowniejszym dowodem poważnych studyów Autora, nieuchylającego się — wedle powszechnego u nas zwyczaju — od najsubtelniejszych badań, jest jego dzieła rozdział czwarty: „Znaczenie pojęcia przestrzeni w stosunku do praw matematyki“ (tom II. str. 3—99). Ale i tutaj analiza nie ustąpiła miejsca — syntezie.

Głównie jednak — wedle wskazówki samego Autora — zatrzymać się miała uwaga nasza przy rozdziale drugim. Wspomniany już brak względu na historyczną łączność teorii filozoficznych, pociąga za sobą w tym rozdziale szczególnie drugi, większy jeszcze niedostatek dzieła dra R. W kwestyi „tworzenia pojęć“ nie uwzględnił Autor nie tylko Tomasza Reida, Dugalda Stewarta (niegdyś mistrzów Jana Śniadeckiego), Jamesa Milla, Alexandra Baina, Herberta Spencera, na których Stuart Mill w swojej *Logice* często się powołuje, ale nie bierze już wcale w rachubę obszernej a głównie dla psychologii podstawnej nawet pracy samego J. S. Milla: *An Examination of Sir W. Hamilton's Philosophy* (London 1867). Tymczasem ostatnie wydania *Logiki*, z których X. służyło za podstawę pracy dra R., wskazują już wyraźnie, że w tym szczegółowym rozbiórce nauki Hamiltona, skłaniającego się do teorii Kantowskich, należałoby szukać obszerniejszych wyłuszczeń Milla co do t. zw. „teorii poznania“ zwłaszcza, że samej jego *Logice* niepodobna przypisywać intencji teoretyczno-poznawczych (w ścisłym znaczeniu tego wyrazu). Gdyby dr. R. ponad zewnętrzne więcej wzmianki o tych autorach, był rozleglejsze ramy zakresił swoim poszukiwaniom, byłby może przychylił się do ledwo nie powszechnego zdania, że *in England hat es schon seit langer Zeit eine Reihe ausgezeichnete Denker gegeben, welche sich zu dem Empirismus oder dem Sensualismus bekannt und dessen Grundsätze mit einer Vorsicht, einem Scharfsinn und einem wissenschaftlichen Ernst entwickelt und verfochten haben, welche die höchste Anerkennung verdienen.* (Spir A., *Denken und Wirklichkeit. Versuch einer Erneuerung der*

kritischen Philosophie. I. Bd. 2 Aufl. Leipzig 1877, S. 6). Nie idzie zatem, aby zaraz zapoznawać wszystkie fałszywe założenia empiryzmu lub jego widoczną jednostronność. Na wszelki jednak sposób nie postępuje dr. R. zbyt sprawiedliwie, biorąc tutaj tylko dwa rozdziały z *Logiki* i rozbierając stąd jeden ustęp po drugim w sposób przeważnie filologiczny, który przypomina scholastyczne przygody mojego „momentu“ (zob. *Rozbiór* str. 21—25; por. *Podstawy teorii poznania* itd., tom I. n. p. str. 148—151). Koniec końców, rozpatrzywszy się — zresztą całkiem słusznie — w Milla zasadach asocjacji psychologicznej, stwierdza także słusznie, że znane prawa kojarzenia wyobrażeń nie mogą jeszcze uczynić zadość względem czysto logicznym (zob. t. I. str. 125—126). Czy tego zarzutu nie przewidział sam Mill w *Rozbiorze Filozofii Hamiltona* (n. p. rozdział 14, 17 i 20, gdzie psychologię uważa za naukę o podmiotowych prawach myślenia a logice, jako części psychologii, przekazuje dochodzenie przedmiotowego waloru naszych myśli), ta kwestya nie zajmuje dra R. a o Hamiltonie wspomina trzy razy (t. I. str. 131, 147 i 152) z pobudek filologicznych lub dotyczących znaczenia tylko jednego wyrazu. Jeżeli wszakże dr. R. odczuwał słabe strony psychologizmu, to należało uderzyć w zasadzie na cały ten, tybem historycznym w rozmaitych odcieniach rozwijający się, kierunek i na wspomnianych powyżej jego przedstawicieli. niesprawiedliwą zatem jest zemsta na samym Millu za to, że „tłómaczy wszelką działalność umysłu wyobrażaniem i kojarzeniem wyobrażeń, t. j. na podstawie teorii o przyzwyczajeniu“, że „u Milla poza wyobrażaniem i kojarzeniem wyobrażeń nie ma już żadnych innych władz ducha (może funkcyj umysłowych?), któreby stanowiły jego głębszą, wewnętrzną istotę (czy jest i zewnętrzna istota, skoro już o istocie mowa?!), zachowującą się czynnie i samorzutnie wobec wpływów zewnętrznego świata“ (l. c. 156).

W takiej samej izolacji traktuje Autor zapatrywanie Milla na naturę „pojęć“, chociaż znany mu 17 rozdział *Rozbioru Filozofii Hamiltona* (zob. tom I. str. 147 uw. 1), mógł go być pouczyć, że sam Mill nie przerwał ciągłości historycznej, lecz licząc się z dawnymi teoryjami realizmu, nominalizmu i konceptualizmu, śledził za ich nowoczesnymi stronnikami. Przekonawszy się, że realizm w obydwu swych kierunkach (*universalia in re — universalia ante rem*) dawno się już

przeżył, zastanawia się w *Logice* tylko nad nominalizmem i konceptualizmem, rozważając nadto nowe — a więc trzecie — stanowisko swego ojca James'a, który w pojęciu widział zbiór wyobrażeń, ujętych w jedną nazwę. Gdyby dr. R. w ślad za tak jasnym przedstawieniem punktów spornych był sobie wziął jeszcze do pomocy klasyczne dzieła Prantla: *Geschichte der Logik im Abendlande* (4 Bde. Leipzig 1858—1870), byłby głównie z tomu drugiego (rozdz. XIV. str. 118—261) nabył przekonania, że w całym tem zagadnieniu oprócz znanych mu względów: logicznego i psychologicznego, rozróżnić jeszcze należy wzgląd — metafizyczny. Zobaczymy niżej, że właśnie tylko pod tym ostatnim względem można mówić o pojęciach jako niedoścignionych — ideałach. Tymczasem jednak stwierdzić nam wypada, że dr. R., nie dopełniwszy powyższych warunków ściśle umiejętnego badania, nie mógł daleko odbić od zarzucanych tylokrotnie Millowi „niejasności“, „chwiejskości“, „niedokładności“ a nawet „sprzeczności“. Kiedy bowiem owe trzy kategorie poglądów, które — jak już nadmieniono — w nowszych utrzymały się czasach, traktuje Mill ze stanowiska tylko historycznego, by na końcu stwierdzić, że do wszystkich trzech wypadków czyli sposobów określania „ogólnego wyobrażenia“ można stosować wyraz „pojęcie“ — to przeciwnie dr. R., rozważając krytycznie każdy z tych poglądów z osobna (str. 133—140), przedstawia rzecz tak, jakoby one wszystkie były systematycznymi poglądami samego Milla. Jakim dyalektycznym kunsztem odbywa się to zjednoczenie troistości w *Logice* Milla, tego nie widzimy nigdzie — dość, że Mill musi dźwigać na swych barkach i konceptualizm (str. 133). Wprawdzie Wundt w swojej *Methodologii* wykazuje dowodnie, że Mill był Nominalistą (zob. *Logik*. II. Bd. *Methodenlehre*, Stuttgart 1883 str. 90 i nast.), ale tej drugiej części *Logiki* Wundta, która się dzisiaj okazuje w drugim w dwójnasób pomnożonym wydaniu, nie używa dr. R. nawet w polemice z Millem o elementa matematyczne. Czas już jednak przystąpić do głównego zarzutu, jaki dr. R. podnosi przeciwko Millowi w sprawie „określenia pojęcia“, a czas tem większy, że tylko z powodu wytkniętej mi w tej mierze zgodności z angielskim logikiem miałem odczytać — oczywiście nie mechanicznie — dawniejszą pracę dra Raciborskiego.

Niestety jednak główny zarzut przeciwko Millowi nie wyłania się z systematycznych wyłuszczeń, jakichby może żądali „ciekawi czyteln-

nicy“, lecz z samych dogmatycznych twierdzeń dra R. Nie rozprawiwszy się poprzednio z samą zasadą psychologizmu, która przecież mogła mieć i jakąś dodatnią stronę, każe nam teraz dr. R. wierzyć na str. 131, że „dotąd (dokąd?) uważał ogół logików (których?) pojęcie jako wymagalnik niezbędny do działań logicznych, w rzeczywistości (a więc psychologizmem) myśleniu jednak zawsze zamącony, mniej lub więcej wyraźnemi wyobrażeniami poszczególnych przedmiotów, do których się jakieś pojęcie odnosi (czy bezpośrednio?). Tym objawem psychicznym uwiedziony, mniema Mill, że pojęcie rzeczywiście nie jest niczem, jak tylko pewną odmianą wyobrażenia.“ Na tem więc polegać ma ten kardynalny błąd Milla, „wytknięty mu już przez Brocharda, Taine'a i innych“, że wystawia pojęcie jako pewien rodzaj wyobrażenia, kiedy w rzeczy samej ma to być logiczny ideał, który się nie da nigdy ani wyobrazić, ani przez wyobrażenie urzeczywistnić (por. także str. 132 i 147). Idąc w tym ostatnim względzie za wzorem Herbart'a (zob. *O logice* W. Kozłowskiego str. 13—14), zapomina dr. R., że w kwestyi „tworzenia“ pojęć nie chodzi tak dalece o to, czem pojęcie jest, nie chodzi o jego istotę, nie chodzi o ten wzgląd już metafizyczny, ażeby pojęcie zgadzało się z rzeczą, ażeby żadna pomiędzy nimi nie pozostawała reszta. Takie dopiero wymaganie jest istotnie ideałem naszej dążności do wiedzy, jest celem wszelkiego ludzkiego poznawania. I wtedy dopiero moglibyśmy mówić n. p. o psychologii jako o prawdziwej umiejętności, gdyby nam się udało dobić się do takiego pojęcia duszy, któreby dało nam poznać w sposób ściśle naukowy istotny pierwiastek wszystkich objawów naszego życia umysłowego. Być może, że nie co innego rozumiał dr. R. i przez swój „wymagalnik logiczny“: nie ulega wszakże najmniejszej wątpliwości, że polegając w dalszych rozumowaniach głównie na powadze Descartes'a, pogrążonego jeszcze w przesądzie o „władzach wyobrażenia i o czystym poznawaniu“ (zob. t. I. str. 152—157), przeocza zupełnie tę decydującą tutaj okoliczność, iż Descartes był jeszcze stronnikiem średniowiecznego realizmu, marzącym nawet o „ideach“ Platónskich! Wobec tego faktu niepodobna istotnie odgadnąć właściwego zdania Autora, który nadto przywołuje do pomocy Kanta, Whewella, Schmitz-Dumont'a, Brocharda itd. (str. 157—163) a wszystkich prawie w dosłownych wyciągach bez uwydatnienia ich ogólnego stanowiska, bez uwagi na wątek historyczny rozpatrywanych zagadnień. Ze wszech miar uznania godna

erudycya Aułora sprawia w tem miejscu wrażenie nieprzetopionego jeszcze materyału do przyszłej dopiero książki naukowej o jednolitej podstawie.

Wbrew wspomnianym „metafizycznym“ zamiarom naszym starał się Mill przeważnie tylko o to, aby wykazać, jak pojęcia w naszym umyśle powstają, jaką jest psychologiczna ich geneza. Czy odpowiedź na to pytanie uczynić może zadość właściwym znów wymaganiom logiki, tej nie mniej ważnej kwestyi nie uprzytomnił sobie także wskutek swego zasadniczego psychologizmu. I tego błędu jego przyćmiewać nie mamy powodu. Zaprzeczamy także, jakoby jedynym zasobem naszego umysłu były tylko szczegółowe, konkretne wyobrażenia, przemycone tutaj za pośrednictwem wrażeń zmysłowych. Bez własnej swojej dążności do „ogółu“, będącej źródłem wszelkich upatrywanych w jego pierwotnej organizacyi t. zw. „kategorji“, nie mógłby umysł dojść przedewszystkiem do tego „ładu i składu“ w gromadzących się w nim szczegółach, o którym wspominam ze względów pedagogicznych w artykule „Przed Kongresem“ (zob. *Muzeum*, Maj i Czerwiec 1894, str. 332). Na czysto formalny charakter tych kategorji, z których istność (substancya) i przyczynowość bodaj czy nie wyłącznie mają uprawnienie, można zapatrywać się rozmaicie, można także całkiem zaprzeczać tym apriorycznym funkcyom. Tak też uczynił Mill z empirystycznego swego stanowiska. Że to rzecz zasadnicza, rozeznał to bardzo dobrze dr. R., bo pierwszy rozdział swego dzieła poświęca rozbirowi „znaczenia kategorji u Milla“. Jednakowoż i ta część pracy dra R. chrońa nie tylko pod względem historyczno-krytycznym, ale grzeszy także, przypisując Millowi wręcz, jakoby mu chodziło tylko o podział pospolitych rzeczy na kategorye, nie zaś głównie o podział stosunków, względów, relacyi, w jakich rozróżniamy i pojmujemy rzeczy pod zmysły nasze podpadające. Wprawdzie w zdaniu swoim utwierdza się dr. R. dopiero po bardzo pilnej analizie „wyrażeń“ Milla, ale ostateczny jej rezultat (str. 88), jakoby rzeczy zewnętrzne zostawały ze sobą w pewnych stosunkach bezwzględnych, t. j. niezawisłych od zwróconej do nich uwagi naszej — ten rezultat nie odpowiada duchowi nauki Milla. Angielski filozof sądzi oględniej, że tych stosunków doświadcza my wraz z przedmiotami, istniejącymi niezależnie od naszej świadomości; przez „doświadczenie“ zaś nie rozumiał prostego „odbierania“ wrażeń zmysłowych, jak mniema

dr. R., lecz treść umysłu nabytą i utworzoną z tych wrażeń. Tak przynajmniej rozstrzyga rzecz tłómacz jego logiki, znakomity filolog wiedeński, prof. Teodor Gomperz, który świeżą pracą: *Die griechischen Denker* (1893—1894) dowodzi swej kompetencyi i w rzeczach czysto filozoficznych.

Bądź jak bądź, dr. R. nie dochodzi należyte całej doniosłości podmiotowych kategorii w sprawie tworzenia się pojęć: wskutek tego popada w grubszy jeszcze empiryzm od Millowego; sprzeczne zaś między sobą wywody późniejsze, raz o apriorycznych „formach spostrzegania“ niby Kanta, drugi raz o aposteriorycznych „pojęciach“ przestrzeni i czasu itd. — nie zadowolą nigdy czytelnika, szukającego wszędzie uzasadnienia i konsekwencyi. A ściślej konsekwencyi nie widzimy wcale w tych twierdzeniach o rzekomej odrębności wyobrażenia od pojęcia. Jeżeli bowiem przypomnimy sobie, że do zamiaru Milla należało przede wszystkim uzasadnienie genezy a nie istoty pojęć — co zresztą stwierdza sam dr. R. napisem rozdziału: „Tworzenie pojęć“ — to nie zapominając także o powyższych zastrzeżeniach naszych co do metafizycznej i logicznej strony tego pytania, zaprzeczć niepodobna, że stopniowy pochod od zwyczajnego wyobrażenia do coraz doskonalszego pojęcia — i w znaczeniu dra R. — odbywać się może tylko w ramach mechanizmu psychologicznego. Pierwotnym podkładem muszą być zawsze wyobrażenia, a z tych, w miarę rozwoju i postępu naszych wiadomości szczegółowych, w miarę dopatrywania w nich cech wspólnych i znamion ogólnych, wytwarzać się będą powoli naukowe pojęcia, zmierzające do poznania istoty odpowiedniej rzeczy, do wykrycia prawa, które nią rządzi. Mamy n. p. wyobrażenie kamienicy, uświadamiając sobie jej fundamenta, mury, okna, dach itd., a wyobrażenie to staje się pojęciem o kamienicy dopiero wtedy, kiedy te wszystkie znamiona zjednoczą się z myślą o celu całego budynku. Każdy śmiertelnik ma wyobrażenie wody, kiedy ją widzi, pije, kąpie się itd., ale tylko przyrodnik ma pojęcie o niej, kiedy ponadto zbadał stosunek połączenia jej pierwiastków, czyli jej prawo. Że wyobrażenia, zgodnie z drem R., zostającym może pod wpływem Spinozy lub Hegla, nie można tłómaczyć ani wprost ani metaforycznie przez „obraz“, do czego nasza etymologia tem większy daje poehop — wykazał to jeszcze Bolzano w swojej *Wissenschaftslehre* (I. B. Sulzbach 1837 str. 229 i nast.). Tym sposobem upada twier-

dzenie, jakoby nie można mieć „wyobrażenia (*Vorstellung*) o istnieniu człowieka, świata, Boga“ (*Rozbiór* 25). Owszem — tylko wyobrażenie, bo żadna filozofia nie dostarczyła dotąd na to wszystko właściwego pojęcia! Prawda jednak jest silniejszą, aniżeli wszelkie jej przekroczenie. Dlatego dr. R. przemawiając za bezwzględną różnicą pomiędzy wyobrażeniem a pojęciem popaść musiał w rażącą sprzeczność z własnym założeniem. Przyznawszy bowiem, że pojęcie jest „przerobieniem wielu wyobrażeń“ (zob. wyżej), nie odmówił mu *eo ipso* charakteru rzeczywistej, psychicznej czynności, a przecież jako „wymagalnik logiczny“ miało ono urągać prawom psychologii, choćby tylko Milla. Sprzeczność ta jest tem większą, że dowodzi wręcz powrotu na zwalczane ciągle stanowisko Milla, czego Autor po tylu latach wcale nie dostrzega. — Równocześnie z pracą dra R. wydał prof. J. Volkelt w Bazylei bardzo głębokie studyum: *Erfahrung und Denken. Kritische Grundlegung der Erkenntnistheorie*. (Hamburg und Leipzig 1886). Szósta księga tego dzieła: *Der Begriff in seiner Bedeutung für das Erkennen*, rozpoczynająca się od rozdziału: „*Der Begriff als Vorstellung vom Gemeinsamen*“, zawiera także ustęp, p. n. „*Der Begriff als unvollziehbares Ideal*“ (str. 340—360). Jest tam wykazana niedostateczność określenia Herbartowskiego (str. 352—353), ale i sprawiedliwość oddana Millowi i jego poprzednikom (str. 356—357). Szkoda wielka, że dr. R. nie poznał wielu tym podobnych poszukiwań: będąc na tej drodze, byłby mi może dziś na seryo „zawtórował okrzykiem: vivat krytycyzm“, a radbym wziąć za wynik poważnego rozumowania to, co zestawione z „vivat konstytucya“ (zob. *Rozbiór* str. 17), było obliczone tylko na dowcip. Niebezpieczeństwa takiej broni dla filozofii dowiódł już Schopenhauer.

Lwów, w czerwcu 1894.

DR. A. SKÓRSKI.



